

JARMARK POLSKI.

JARMARK POLSKI.

Komuż niewiadomo jak nasze miasteczka pospolicie ciche i smętne, przybierają nagle postać ożywioną i wesołą w dzień jarmarczny. Zgiełk ludu, natłok wozów i bydląt domowych, wrzawa targujących się, wołania zachęcających do kupna kramarzy, brzmienia wędrownych muzyk w pozakładanych na około targowiska szynkowniach, rżenie koni na sprzedaż wyprowadzonych, wszystko to jest nader zajmującym widokiem, który jarmarczna publiczność, zwykle z kilku różnych plemion, polaków, niemców, żydów, a częstokroć

i rossyjskich markietanów złożona, urozmaica właściwemi sobie ubiorami. Załączona tu rycina, dzieło jednego z celniejszych artystów, przedstawia bardzo trafnie i wiernie widok jarmarku w polskiém miasteczku. Sprzedaż koni bywa tu głównym targu przedmiotem, stąd mnóstwo tu jest przedających i kupujących konie.

O ROMANSIE HISTORYCZNYM.

(Dokończenie.)

Włosi dzisiejsi dosyć się odznaczyli w tym zawodzie. Są u Manzoniego, u Rozyniego malowidła żywe i delikatne, pojmują oni naturę pod względem więcéj poetycznym, więcéj romansowym, niż na romansistów historycznych przystało. W ich powieściach są niektóre przygody interesujące i dobrze wydane w prozie, ale opisanie miejsc bardzo niedokładne, i brakuje w niém jakiegoś wdzięku zachwycającego, który ożywia opisy Walter-Skota. *La Sibilla Odoleta*, *J. Promessi Sposi*, wzruszają nas czasem, lecz nie dają dość jasnego wyobrażenia o starodawnych obyczajach i zwyczajach. Talent i biegłość starożytnika nie wydają się tam dość połączone z talentem poety. Nie raz ci pisarze wydają szczęśliwie namiętne uczucia; ale im brakuje rzutu oka surowego i razem łagodnego, jakiém się odznacza Walter-Skot, który ma na doręczu uśmiech na wszystkie śmieszności, umié wydać należycie każdą słabość, zdoła się rozczulić i uronić łzę dla każdéj cnoty, a bystrym i trafnym jest w dostrzeganiu i rozpoznaniu wszystkich charakterów.

Toż samo zupełnie zaszło i u Niemców. Meisner i Weit-Weber kusili się o romans historyczny, nie bez talentu, lecz nie potrafili się zbliżyć do Waltera-Skota. Weit-Weber zwolennik XVIII wieku i filozofii tegoż wieku, zawzięty nieprzyjaciel feudalności i panów lennych, zakładał sobie za cel główny pisać przeciwko dawnéj szlachcie. Ztąd w jego romansach widać dążenie wyłączne, widać wyraźny i nieodmienny zamiar, widać oczewiście stronność; a cały wdzięk romansu historycznego znika dla braku prostoty szczeréj i niewinnéj. Romansista zaś szkocki malując nam grubijaństwo gwałtowne nieokrzesanego i strasznego rycerza *Front-de-Bouef*, niezaniedbuje przytém stawić nam przed oczy przykłady dowcipu, heroizmu, i ducha wojowniczego dawnych czasów. Weit-Weber maluje tylko okrutników, maluje potwory w ludzkiéj postaci, maluje Ruzyrysów zbrojnych pancerzem. Meisner na nieszczęście jest zbyt romansowy; nasadza zawiele kolorytu w swoich obrazach, a jego heroiny nieporównanéj piękności, pełne wymysłów i dziwactw są takie, jakich nigdy nie było na świecie. Romans *Bianca Capella* jest dość interesującym, ani mu zbywa na imaginacyi; lecz i tu zarzucić można Meisnerowi, że poprzeistaczał dzieje historyczne, i że najwięcéj pobłądził, wdając się w malowaniu obrazów zbyt wolnych i gorszących, jakich sobie Walter-Skot nigdy nie pozwolił.

Dwóch jeszcze lub trzech innych pisarzów niemieckich doświadczało swoich zdolności i usiłowań w tymże samym rodzaju, z nich nie możemy tu pominąć Zschokke, który okazał wiele talentu przyjemnego i ujmującego, ale zbyt często miesza idyllę fantastyczną ze wspomnieniami historycznemi. Umié on ułożyć powieść interesującą, umié ożywić osoby przez siebie wprowadzone i wystawić je w położeniu podobném do prawdy. Lecz zbyt często przebijający się w nim styl Gesnerowski, osoby sielankowe, wyobrażenia właściwe poezyi sielankowéj, i obłędne urojenia muzy niemieckiéj nadają scenie przez niego wybranéj jakąś barwę opaczności i sfałszowania. Aby się wznieść wyżéj w tak trudnym rodzaju, trzeba dociec, co jest malowniczego w prawdzie a interesującego w historyi pewniejszych już czasów; trzeba umiéć połączyć rozsądek wzniosły prozy Moliera i Fildinga z poezyą Aryosta i Tassa. Tego to połączenia nader rzadkiego i prawie cudownego, napróżnobyśmy szukali w licznych naśladowcach francuzkich szkockiego pisarza. Z pomiędzy nich Paweł Lacroix najwyżéj stanął przez swoją erudycyą tak mozolną i drobiazgową. Les Mauvais Garçons przez Panów Royer i Barbier, wystawiają obraz starodawnego Paryża pełen prostoty i szczerości. Tymczasem Wiktor Hugo, a bardziéj jeszcze spółcześni jego naśladowcy, swoim przykładem pociągnęli za sobą większą część pisarzów; w ich utworach pełno jest samych okropności, w czém nawet przesadzili swojego mistrza, który obok najokropniejszych obrazów umieszcza malowidła żywe i powabne. Nie można tu pominąć Pana de Vigny, którego romans *Cinq-mars* jest zajmujący, pełen rozmaitości i wymowy. Widać tylko, że autor nie dość dobrze pojął charaktery osób niższych stanów, co mu było tak potrzebne do odmalowania wieku; równie téż charaktery Ojca Józefa i Richeleigo są całkiem chybione. Odłożywszy na stronę opisy ubiorów, zbroisk i sprzętów domowych, małoby się tam znalazło rysów rzeczywistości, to jest takich rysów, które odznaczają rozmaite zmiany i cieniowania charakterów epoki.

Trudno odgadnąć, czy umyślnie, czy przypadkowo Pan Taylor znany w Anglii z wielu dzieł filozoficznych, w tym samym właśnie przedmiocie wydał niedawno swoje dzieło pod napisem *Artevelde*, w formie dosyć szczególnéj. Jest to we względzie pomysłu i treści romans historyczny, a co do układu dram-

mat, albo raczéj jest to romans w formie drammatu, i ta nowość nie po raz piérwszy się zjawiła. Bo, od czasu pokazania się na horyzoncie literackim dzieł Goethego i Szyllera, Niemcy naklecili mnóstwo romansów w podobnéj formie, które nie dają się przedstawić na scenie dla swojéj długości, chociaż z dzieł teatralnych przejęły dyalog i całą postać zewnętrzną. Prócz tego, nietylko Lacretelle i dawniejszy od niego prezydent Hainault, wydali wielkie drammata jedno-tomowe wcale nie przeznaczone dla sceny, ale znajdujemy wiele dzieł podobnych w starodawnéj literaturze hiszpańskiéj. Między innemi *Celestyna* jest także romans cały w rozmowach, czy téż drammat romansowy. Nakoniec, jakby na dowód, że umysł ludzki zawsze jest do siebie podobny i postępuje odwiecznie tąż samą drogą; zjawisko zupełnie podobne ukazuje się w starożytnéj literaturze Samskryckiéj. Jest tam jeden drammat w 90ciu aktach, i którego wystawienie, gdyby kto chciał zrobić tę próbę, zajęłoby cały miesiąc czasu.

Romans Taylora w formie drammatycznéj wielkie wrażenie sprawił w Londynie i w Edymburgu. To była prawdziwa nowość w literaturze angielskiéj, odznaczona piérwszém usiłowaniem dążącém do zarzucenia rodzaju poezyi cierpkiéj i gwałtownéj albo téż mistycznéj i bezrozumnéj, któremu to rodzajowi w Anglii i na stałym lądzie poświęcano się i hołdowano od blisko dwudziestu lat. Widać człowieka z wielkim charakterem męzkim i niezłomnym nietylko w samém wykonaniu dzieła, ale i w przedmowie umieszczonéj na wstępie, gdzie autor z całą jasnością i mocą przekonania występuje z zarzutami swemi przeciwko poezyi bajrońskiéj. Jego usiłowania godne ze wszech miar pochwały. Dzieło samo godne mistrza; w niém charaktery osób należycie rozważone i najtrafniéj wydane. Wszędzie potężna rozwaga wystawiona jest tuż obok zapędów namiętności; a nigdy prawa rozumu nie są poświęcone uniesieniom chorowitéj czułości. Dzieło to jest nowością dziwnie ciekawą, podobne razem i do romansów Walter-Skota we względzie pojęcia rzeczy i obranego stanowiska, i do sztuk teatralnych Szekspira we względzie formy drammatycznéj. Uczuł to autor, że liryczność w drammacie może jedynie zajmować miejsce podrzędne; bo życie rzeczywiste, praktyczne, zwyczajne nie jest bynajmniéj ciągiem poruszeń i działań gwałtownych i przesadzonych. Pełno światłych uwag w Taylorze; a część sentencyonalna czyli zdaniowa, która oddawna zdaje się być zapomnianą i zarzuconą od poetów angielskich, w nim szczególniéj jest uderzającą. Autor często nawet poświęca namiętność zimnéj rozwadze; niekiedy zaś te dwie potężne władze jednę po drugiéj wystawia lub łączy razem w jednéj osobie, mając je z całą żywością wyobraźni, i w największém wystawując świetle.

Przywiedziemy tu na los szczęścia bez najmniejszego wyboru kilka wyjątków z romansu o którym mowa. Arteweld stojąc u drzwi ogrodu, w którym jest Helena jego kochanka, tak mówi: „Mamże zamieszać mgłą ciemną jasny i pogodny horyzont jéj pięknego życia? To rzecz smutna. Co do mnie, mało mię przyszłość obchodzi, jakikolwiek los zniosę. Przewidywać szczęście lub niedolę, to jest za mało dla człowieka tak myślącego. Ale ja jestem mężczyzną i już dojrzałym, a ona jeszcze młoda i kobiéta. W sercu kobiéty uczucie zapala się tak szybko i gaśnie tak raptownie! Ogień, który nas powoli trawi, wybucha w tych słabych stworzeniach płomieniem iskrzącym, raptownym i pożera je w jednéj chwili. Tak, ona jest piękna, piękna jak anioł! Ale jakąż burzę sprawię w jéj życiu! Ach! jakżeby lepiéj było spoczywać sobie w zupełném uciszeniu duszy wolnéj od namiętności!“

Zmówiwszy się potém z Heleną na zejście się w osobności, pewny czułego jéj serca Arteweld zostaje sam w swoim namiocie; w tém znowu napadają go wielkie myśli stawiące mu przed oczy rozpoczęty zawód polityczny.

„Noc daleko zaszła, wkrótce wejdzie jutrzenka; jużby ją widać było, gdyby nagromadzone chmury z czarno ząbkowanemi obwodami nie zasłaniały jéj promieni, jak las sosnowy zapiéra światło słońca. Wkrótce dzień się zacznie. Już tyle godzin tak przebyłem! połowę nocy letniéj! I jakże ją przebyłem? Moja próżność uśmiecha się: ale rozum czy to mi pochwala? Mój Boże! jakże miłość kobiéty nie zaspokaja serca mężczyzny! Te kilka godzin, co mi zostają, drogie są dla mnie. Nuże! czém prędzéj wstawajcie! Tak zaiste, byłby to największy nierozum szukać chluby z piérwszeństwa u jednéj kobiéty. Bo czegoż to dowodzi? Zdarzenie sposobne, blizkość miejsca i inne okoliczności nas zbliżające, często nam więcéj w tém pomogą niż nasza zasługa. Czyż potrzeba koniecznie być urodziwym, albo miéć piękną duszę? Codziennie widzę ludzi, którym brakuje na tych obu zaletach, a jednak los łączy ich z najpiękniejszemi i najszlachetniejszemi stworzeniami, któremi podobało się Bogu ozdobić świat kobiét. Miłość ich spadła, bez wyboru, bez zastanowienia żadnego, na ludzi najniegodniejszych. Nuż więc. Oni śpią jeszcze! Moi koledzy! nuże! wstawajcie! Co do mnie, czyż nie powtarzają tysiączne głosy ze wszystkich stron, że ja jestem wielki człowiek? Otoczonego tym promiennym blaskiem, któraż kobiéta nie zechce kochać! Któraż będzie mię ceniła podług zasługi? Nuże prędzéj, wstawajcie!“

Wyjątki te biorą całą swoję wartość od gruntu myśli, nie od okazałości wyrażenia. O jak są tkliwe, jak pełne prostoty i mocy uwagi z samym sobą człowieka, który należąc do krwawych intryg życia publicznego, jest oraz oddany myślom łagodniejszym wprawdzie lecz nie mniéj burzliwym, miłosnéj intrygi! Jak ten zwrót myśli na ułomność serca wydaje nam się pięknym i patetycznym, zwłaszcza w ustach zręcznego intryganta i nieustraszonego walecznika! Po jego śmierci wprowadza autor dwóch rozmawiających o nim; warto ich posłuchać!

„Już nie masz tego człowieka, któremu tak się wiodło szczęśliwie w całém życiu. Zdołał on dokonać świetnego zawodu; lecz iluż to innych umiéra przed czasem! Życie ich jest jak nędzny szczątek oderwany od wielkiego pomnika; mało kto umié ocenić zasługę potrzebującą dopełnienia, a gmin pospolity nawet nie wié, że oni żyli, że byli wielkiemi. Nie jest to więc osobliwością być wyższym nad drugich, ale trafić na szczęśliwą porę i sposobność pokazania swojéj wyższości. Obliczmy tylko wpływy trafu, a przekonamy się, że gdy kto sam jeden szczęściem nadzwyczajném pozyskał wieniec chwały i doszedł do celu, tysiące innych daleko świetniéj uposażonych od niego pomarli wśród drogi. Tysiące znowu innych napotykają jaką przypadkową przeszkodę; niewielki skopuł, o który się rozbijają i toną w głębinie, gdy drudzy w słabszych nierównie łódkach tuż obok nich przepływają szczęśliwie. Przyłączmyż jeszcze do nich małą liczbę rozsądnych i spokojnych, którzy czują w sobie siły a ich nie marnują, i nakazując swojéj wielowładnéj energii milczenie i oczekiwanie, zamykają się w swojéj nieméj wielkości; a pokaże się, że najwięksi może ludzie na świecie są ci, o których świat nie wié.

„W czasach burzliwych, śmierć jest łatwa, i ledwo na nią kto zważa; mało wtenczas przywiązujemy ceny do życia, mało łez ronimy po czyim zgonie. Człowiek wyższy pokaże się i zniknie; podobnie napowietrzne światło zapłonie na niebie, i zgaśnie. Lecz czy przeto już niestanie świateł na niebie? Bynajmniéj; zaledwo tu jedno zgaśnie, pokaże się znowu inne w drugiéj części widokręgu. Tak szybko śmierć przelatuje, że nie mamy już czasu zapłakać. „Biada temu, biada, przerwał stary zakonnik, kto nie ma czasu zapłakać! bo taki nie ma czasu i do poprawy. Nie uleczy nikt swoich słabości i nie ukoi cierpień, jeżeli ich czuć nie będzie; a wyrugujmy tylko z siebie rozmyślanie i żal, tęsknotę i nadzieję, a mądrość do nas nie wnijdzie.“

Taki jest w ogólności sposób Taylora. U niego namiętność powstaje z rozwagi, myśl nad uczuciem panuje. Dzieło jego tak dobrze przyjęte w Anglii, rokuje blizką w literaturze angielskiéj zmianę wielkiéj wagi, która niewątpliwie rozszerzy się i na stałym lądzie. Wkrótce upowszechni się gust zupełnie nowy, a w dziełach imaginacyi będziemy wymagali więcéj mocy i natężenia myśli, więcéj wzruszeń kierowanych rozwagą i trafnych postrzeżeń. Poezya bajrońska jest na skonaniu.

KOLONIA.

Pobożność ludów zachodniéj Europy nadała Kolonii nazwisko *Rzymu niemieckiego*. Jest to miasto cudów, legend, świętych męczenników, kościołów katedralnych, miasto trzech czarnoxiężników, świetniejące blaskiem relikwiarzy i grobów drogiemi kamieniami wysadzanych, miasto święte dla pomników religijnych, do którego z dalekich krain liczne odbywają się pielgrzymki.

Wędrownik, któremu znane są zajmujące dzieje *Kolonii*, żywego doznaje wzruszenia postrzegając zdala wznoszące się nad poziom maszty jéj okrętów, strzały dzwonnic i szczyty wież rozlicznych, które obudzają w nim pomieszane uczucie ciekawości i pobożności, jakich doznawali pielgrzymi średnich wieków, kiedy zatrzymawszy się na chwilę przed wejściem do miasta, oparci na kiju podróżnym ze czcią religijną poglądali na mury niemieckiego Rzymu.

Pielgrzymi ci po długiéj i niebezpiecznéj podróży, w któréj nieraz może odarci przez rozbójników nadreńskich żebrali jałmużny u bram zamków opackich, gdy spostrzegli nareście dzwonnice Kolonii, tak gościnnéj dla ubogich, doznawali w sercu świątobliwém pobożnéj radości, i nie zadziwiał ich bynajmniéj widok brudnych, ciasnych i ciemnych ulic miasta, nagromadzonych nad brzegiem Renu domów piętrzących się jedne na drugiemi, jak gdyby spór wiodły o mały port do połowu ryb i do handlu nad rzeką. Kolonia rozciąga się wkształcie półkola nad małą przystanią, którą Ren na lewym brzegu formuje. Średnica tego półkola wynosi blisko milę. Położenie jest piękne i mogło wcześnie ściągnąć do siebie handel, a wprzódy jeszcze wojnę, która piérwszy kamień węgielny do budowy wielkich miast zakłada. Jakoż zaraz po przybyciu swojém do Niemiec Rzymianie założyli tu obóz oszańcowany, który wkrótce zamienił się na miasto a późniéj przybrał nazwisko *Osady Agryppińskiéj* (Colonia Agrippinae), gdyż Agryppina żona Klaudyusza a matka Nerona tam się urodziła. Opiece téj cesarzowéj winna téż była Kolonia wiele upiększeń. W tém mieście mieszkała także przez czas długi jakby na wygnaniu, i umarła w klasztorze, Marya de Medicis, żona Henryka IV króla francuzkiego.

KOLONIA.



Kolonia była stolicą Gallii nadreńskiéj aż do roku 462, w którym Frankowie nadbrzeżni odebrali ją Rzymianom. Klodoweusz ogłoszony tu został królem Franków, a Pepin, nim wstąpił na tron królewski w Xtym wieku, był xiążęciem Kolońskim. Cesarz Otton Wielki wydarł to miasto Frankom i do państwa niemieckiego przyłączył, a nadawszy

mu różne swobody, zarząd nad niém cywilny i duchowny bratu swojemu Brunonowi arcybiskupowi powierzył. Częste zachodziły spory między mieszczanami i arcybiskupami Kolonii: piérwsi bowiem ufni w swoje bogactwa i troskliwi o swoje swobody chcieli koniecznie odebrać arcybiskupowi władzę cywilną; ztąd krwawe rozterki powstawały wśród miasta.

Kolonia piękne posiada zabytki historyczne z czasów rzymskich. Aż do zajęcia przez Francuzów w roku 1794, miasto zachowało zwyczaje i obyczaje Rzymu; były tam familie patrycyuszów, urzędnicy w szatę konsularną przyodziani, i woźni których nazywano *liktorami*.

W wiekach średnich Kolonia świetną grała rolę; była na czele związku hanzeatyckiego i wystawić mogła do trzydziestu tysięcy ludzi zbrojnych. Bogactwa i pobożność jéj mieszkańców utrzymywały sześćdziesiąt dziewięć klasztorów, z których jedenaście przeznaczonych było jedynie dla dam szlacheckiego roku; dziewiętnaście kościołów i czterdzieści dziewięć kaplic. Sztuki i nauki, które handel do siebie przynęca i ożywia, kwitnęły w Kolonii i w dziwnéj zostawały sporności z nieokrzesanemi zwyczajami burzliwych mieszkańców.

Powoli straciła Kolonia większą część korzyści jakich w świetnéj epoce średnich wieków używała. W roku 1425 w dzień Ś. Bartłomieja wypędzono z niéj wszystkich żydów. W kilka lat późniéj gdy rozruch powstał za sprawą sukienników, magistrat spalić rozkazał tysiąc siedmset warsztatów sukiennych i przyłożył się przez to do wzrostu miast ościennych, dokąd rzemieślnicy swój przemysł przenieśli, a do upadku własnego. W roku 1618 wszystkich protestantów wygnano. To wszystko pociągnęło za sobą upadek handlu i przemysłu. Gdy Francuzi w roku 1794 opanowali Kolonię, zastali tam dwanaście tysięcy żebraków, osobny okrąg miasta zamieszkujących i stanowiących oddzielną klassę ludności, oddaną zupełnie próżniactwu i ubóstwu, gdzie dzieci uczyły się od rodziców rzemiosła żebrackiego i udawania różnych kalectw: do tych zaś żebraków przyłączało się jeszcze wielu włóczęgów ze wszystkich krajów, którzy w dzień przybierali na siebie postać pobożnych pielgrzymów, a w nocy po ciemnych ulicach napadali na osoby późno do domu wracające. Rząd Pruski, pod którym Kolonia teraz na nowo kwitnąć zaczęła, przez zaprowadzenie wzorowego porządku zaledwo zdołał usunąć z niéj złe od tylu wieków wkorzenione.— Załączona tu rycina przedstawia widok miasta od południa, gdzie jest starożytna wieża *Beyenthurm* zwana. W tém to miejscu arcybiskup Engelbert II w r. 1261 wystawił był zamek warowny dla poskramiania burzliwych mieszczan, których ustawiczne kłótnie domowe sprzyjały mu do rozszerzenia swéj władzy nad miastem. Zamek ten wszakże w roku 1267 od mieszczan wiedzionych do szturmu przez możnowładną rodzinę *Overstolzen*, był zdobyty i zburzony; pozostała tylko jedna wieża, która teraz najpiękniejszą jest ozdobą wałów Kolonii.

GADY I PŁAZY.

Ledwie wyspy i lądy, całkiem jeszcze bagniste, zaczynały odróżniać się od morza; „kiedy z potężnemi wieloryby i z wszelakim „ruszającym się zwierzem, wydanym w obfito-„ści przez ziemię,“ (są to słowa textu pisma Świętego) wnet pomieszały się płazy, czyli zwierzęta natury ziemnowodnéj, dla których świeże pobrzeża przyzwoitém stały się siedliskiem. W pokładach przeto, gdzie się ślady tworów piątéj epoki stworzenia nagromadziły, znajdujemy mnóstwo kości olbrzymich płazów, oczywiście natury wodnéj. Kształty ich były najdziwaczniejsze; potrzebowały głębokich toni dla ogromnych ciał swoich, a ziemia wówczas rozmiękczona, stała się zwłok i odcisków ich składem; ginęły bowiem bezwątpienia w miarę jak na parującym globie ubywało wilgoci, albo téż gdy gwałtowne burze rozbijały je o skały, lub wyrzucały na brzegi już zanadto stwardniałe, ażeby w nich zagłębiać się mogły. Wtenczas to znikły potężne gawiale, olbrzymie rybojaszczury, z pletwami żółwi morskich i z szyją węża, których kształt i wymiary urzeczywistniłyby bytność mitologicznych smoków, gdyby tylko skrzydła dopełniły ich potworności. A jednak podobne skrzydła miały ówczesne płazy, tak jak je mają teraz różne zwierzęta ssące i gady.

Skrzydlate płazy, obecnie zaginione, których wyciski w skałach brano za wyciski ptaków, były to płazy z mocnemi skrzydłami i organami, uzdolnione iść w zawody z lotnemi nietoperzami. Te więc płazy latające, które w zjawianiu się istot stworzonych, poprzedziły ptaki, nie byłyż piérwszą formą w przejściu natury, od kształtów charakterystycznych właściwych pływaniu, czółganiu się i chodzeniu, do kształtów cechujących całą rodzinę ptaków. Dopiéro więc, kiedy powłoka ziemi dobrze stężała, i dostatecznie stwardła przez wyschnięcie, rozwinął się drugi szereg zwierząt zimną krew mających, które dziś gromadę gadów stanowią. Istoty probiercze, jeżeli tak je nazwać wolno, utworzone, jak to zaraz zobaczymy, podług różnych wzorów i w różnych epokach, płazy i gady miały mieć pewne cechy różne i spólne innym szeregom zwierząt, jakby dla ustanowienia między niemi związku. I tak: jedne z płazów i gadów są jajorodne, drugie żyworodne. Jedne mają nóg cztéry jak ogół ssących, drugie po dwie tylko, a węże są beznóżne.

Węże pokrywa łuska, żółwie rogowa skorupa, a żaby mają ciało nagie z chropowatą powierzchnią. Wiele płazów i gadów opatrzone są ogonem, innym zbywa na nim zupełnie. Przebywają albo ciągle w wodzie, albo tylko w młodości, albo w pewnych epokach rozwijania się swojego, lub téż chronią się przed wilgocią i lubią miejsca zupełnie suche. Kiedy najsłabszy promyk światła dokucza proteuszowi, najbardziéj dopiekające słońce zdaje się ożywiać jaszczurki. Znajdują się między płazami i gadami chodzące, czółgające, skaczące i pływające, są także i podlatujące za pomocą skrzydeł. Znamy bardzo wiele jadowitych i zupełnie niewinnych; srogich i łagodnych, mięsożernych i żywiących się roślinami; szybko biegających i powolnych; ładnych i szpetnych, opatrzonych pazurami, i bez pazurów; mających zęby, i całkowicie bezzębnych; zdatnych na pokarm, i takich których mięso obrzydliwe. Z powyższych różnic rzecz widoczna, że te zimną krew mające istoty, tworzą dwie oddzielne gromady, z których jedna, to jest: Gady, lęgną się podobne przodkom, i jeźli mają nogi, mają oraz pazury u palców. Przeciwnie Płazy mając palce bez pazurów a na ciele skórę nagą, wychodzą z jaj w postaci niepodobnéj przodkom swoim: muszą więc kilka odbydź przemian, nim właściwą gatunku swego postać otrzymają.

„W utworze Gadów i płazów, mówi *Cu„vier*, zdaje się igrać przyrodzenie wynaj„dowaniem najdziwaczniejszych kształtów i „odstępowaniem w każdém zdarzeniu od planu „ogólnego, jakiego się trzymało co do zwierząt „grzbietnych. Brak pierza i sierci jest szcze„gółem, najlepiéj może odróżniającym płazy.“ W skutek takiéj to uwagi wnosił (*Blainville*) ażeby nadać im nazwisko bezsiercio-piórnych (nudipelliferes.) Nie masz pomiędzy niemi, ani wysiadających jaja, ani troszczących się choć cokolwiek, o młode swe potomstwo. Pozbawione organów do karmienia, a tém samém i mléka, Gady i płazy, mają tak jak ryby krew zimną chociaż czerwoną; co zawisło od sposobu, jakim u nich odbywa się oddychanie. Zwierzęta te, mają serce tak urządzone, że to za każdém ściśnięciem się, część tylko krwi, odbieranéj od różnych części ciała, do płuc przeséła; reszta zaś płynu tego, nie uległszy oddychaniu, do tychże części powraca. Wynika ztąd, że działanie kwasorodu na krew, mniejsze jest w nich jak u zwierząt ssących, a nadewszystko u ptaków. Że zaś oddychanie nadaje krwi ciepło, i muskuły do ruchu usposabia; płazy więc i gady, u których siła muskularna nie dosyć jest rozwinięta, wykonywają tylko poruszenia czółgające się i pływające; lubo wiele z nich skaczą i szybko w pewnych okolicznościach biegają, w ogólności jednak są ociężałe, trawią powoli, mają czucie przytępione, a w krajach zimniejszych, wszystkie prawie zasypiają na zimę. Mózg ich stosunkowo bardzo mały, nie zdaje się być im tak potrzebnym jak ssącym i ptakom, do odbywania funkcyj zwierzęcych i żywotnych; Gad i płaz pozbawiony mózgu, jeszcze przez znaczny przeciąg czasu żyje. Żółw lądowy po wyjęciu mózgu, żył miesięcy sześć, nie poniósłszy innego szwanku, oprócz utraty wzroku. Trytanom obcięte nogi, a jaszczurkom ogony, z łatwością odrastają.

Ponieważ w kształcie i obyczajach płazów i gadów zbyt wielkie zachodzą różnice nie tylko w rzędach, familiach, rodzajach, ale nadto i w gatunkach; są więc w ogólności samotne, smutne, i podejrzliwe: przejmują nadto głębokim wstrętem, z powodu jadowitości wielu. Boją się ich wszędzie; ale ta bojaźń która ściągnęła na nich zaciętą z człowiekiem wojnę, jednała im także, niekiedy ołtarze, jak wężom, krokodylom i t. p.

Liczba Gadów powiększa się idąc ku równikowi, gdzie wysoka temperatura wynagradza tym istotom niedostateczność ciepła tworzącego się z krwi krążenia. Tam znajdują się nieporównanie większe i bardziéj zwinne, a jad nabiera całéj mocy, właściwéj temu rodzajowi, szkodzenia. Między zwrotnikami i nieco daléj, przebywają krokodyle i Połozy prawdziwe olbrzymy w rodzinie Gadów. Tam są najjadowitsze żmije. Zawsze w strefie gorącéj, bądź to na powierzchni lądów, bądź to w błotach i bagnach, bądź téż wreście w ocieplonych wodach morskich, przemieszkują największe z żółwiowatych; zdaje się jednak, iż te ostatnie za 46 stopień szerokości nie przechodzą. Co do gadów i płazów kopalnych ograniczymy się na uczynieniu wzmianki, że większa część z odkrytych i rozpoznanych, należy do żółwiowatych, krokodylów, jaszczurek i żab. Te które poczytywano za skamieniałe węże, w czasach, kiedy anatomia porównawcza nie była jeszcze umiejętnością, okazały się niczém inném, jak odciskami ryb węgorzowatych lub rogami amona.

TIPPO SAHEB SUŁTAN MISORY.

Śmiały ten wojownik niegdyś władca państwa Misory w Indyach wschodnich, stanowiącego teraz prowincyę prezydencyi Madras pod zwierzchnictwem Anglików, synem był Hyder-Alego, który po wypędzeniu w roku 1755 dawnego pokolenia Radżahów, osiadł na tronie Misory. Tippo-Saheb urodzony r. 1751, objął rządy po ojcu w dniu 10 grudnia 1782 r. Niewygasłą pałając nienawiścią ku narodowi angielskiemu, toczył z nim ciągle wojnę przez ojca swego rozpoczętą aż do r. 1784, w którym Tippo Saheb z powodu zawartego już wprzódy pomiędzy Anglią i Francyą pokoju, zmuszonym się widział zaprzestać walki. Przez pokój wszedł na powrót w posiadanie utraconych warowni, lecz natomiast zwrócić musiał Anglikom zdobytę



(Tippo Saheb Sułtan Misory.)

przez ojca miasto Kalkutę i zrzec się wszystkich pretensyj do karnatyku. Jednakże niepohamowana nienawiść jego ku Anglikom, doradzała mu nowe sposoby uwolnienia się od groźnego ich sąsiedztwa. W tym celu wyprawił w roku 1787 poselstwo do Ludwika XVI, dla nakłonienia go do wojny przeciw Anglii, które wszakże oprócz wznowienia dawnych stosunków przyjaźni żadnego nieosiągnęło skutku. Chciwy zaborów Tippo Saheb na nowo wziął się do broni i najechał Radżaha Trawankory, niepodległego książęcia na brzegach Malabaru. Z tego powodu Anglicy zawarłszy z Maratami i władcą Dekanu przymierze przeciwko Tippo Sahebowi, wkroczyli roku 1790 do Misory, gdzie kilka warowni opanowali, w rok zaś późniéj dwaj angielscy wodzowie Kornwalis i Aberkrombye podstąpiwszy aż pod stolicę Seryngapatam, oblegli w niéj sułtana i przymusili do zawarcia pokoju, mocą którego Tippo Saheb odstąpić musiał zwycięzcom mniejszą część państw swoich i wszystkie twierdze pograniczne. Lecz Tippo Saheb trwając ciągle w swéj zawziętości, starał się ze wszystkich stron podżegać nieprzyjaciół przeciw Anglikom; rozpoczął w tym celu układy z królem państwa Kabul, które wszelako spełzły bezskutecznie. Usiłował przeto wejść w przymierze z rzeczą pospolitą francuzką, i w tym zamiarze posłanników swoich wyprawił do *Isle de France*, dla sprowadzenia ztamtąd posiłkowego sobie wojska. Przygotowania jednak czynione ku temu przez rządcę wyspy, wydały tajemnicę Anglikom; a gdy ci ujęli właśnie wtedy ajenta którego generał Bonaparte, naówczas w Egipcie znajdujący się, wysłał był do zawarcia układów z Tippo Sahebem, postanowili zatém uprzedzić napad swojego nieprzyjaciela wydając mu wojnę dnia 22go lutego 1799 r. z pomocą Subaka Dekanu i Maratów. Wielkorządca Indyi Lord Wellesley rozkazał dwom armiom pod dowództwem generałów Harrisa i Stuarta wkroczyć w państwa Tippo Saheba, który 60,000 ludzi przeciw Anglikom wystawił. Piérwsze zaraz utarczki niekorzystne były dla sułtana; zmuszony więc był schronić się do stolicy. Miasto Seryngapatam dobrze obwarowane, przed którém się obie armie angielskie połączyły, po 14to dniowém oblężeniu szturmem zostało wzięte d. 4 maja 1799 r. Sułtan na czele swojego wojska walcząc z odwagą lwa, poległ na okopach z mieczem w ręku. Zdobycz zwycięzców była niezmierna; znajdowały się w niéj między innemi łupami dwa tygrysy złote z dyamentowemi oczami, z których jeden wraz z biblioteką Tippo Saheba znajduje się w domu Wschodnio-Indyjskiéj kompanii w Londynie. Jedna część państwa Tippo Saheba dostała się Maratom, druga władcy Dekanu, trzecia Anglikom i młodemu Radżahowi Kisny, ostatniemu potomkowi prawéj dynastyi Radżahów. Rodzinie pozostałéj po Tippo Sahebie, wyznaczono twierdzę Vallore na mieszkanie i 720,000 rupij rocznéj pensyi.

Tippo Saheb mimo wielkich wad i skłonności do okrucieństwa, jest zawsze znamienitym i rzadkim charakterem w dziejach wschodu. Obdarzony od natury bystrym i przenikliwym umysłem, śmiały był w przedsięwzięciach, mądry i chytry w wykonywaniu onych; w nieszczęściu serca nie tracił, a w powodzeniach dumą się nie unosił. W innych okolicznościach rzadkie dary jego umysłu byłyby się jeszcze bardziéj rozwinęły dla dobra powszechnego.

Portret Tippo Saheba który tu umieszczamy, wzięty jest z oryginalnego obrazu, będącego własnością księcia Wellingtona.

w Warszawie, w Drukarni Jana Glücksberga Księgarza Szkół Publicznych, Ulica Przejazd N. 649.